Nr. 31. We Lwowie dnia 4. sierpnia 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

J. Słowacki: Samuel Zborowski.

Scena w zamku księcia Poloniusa.

3) OSOBY: Biskup, Bukary, później Heljon, syn Poloniusa.

Bukary.

Gdym się zbliżał na czele Herodowej rzeszy,
To spali.

Ksiądz Logik.

Co to Panu jest? Brwi się zmarszczyły.

Bukary.

Słuchajcie mnie! Gdyby tu kto teraz z mogiły
Wszedł, czybyście się bali?

Księża (chwytając za kielichy).

A niech Pan Bóg strzeże!

Bukary.

Przez tę salę duch przejdzie. On wam nie zabierze
Tych kielichów.

Ksiądz Logik.

Bez myśli chwytaliśmy za co
Pierwszego było schwycić.

Bukary.

Mnichy głowę tracą. —
Słuchajcie! Byście mogli widzieć jego ciało,
Opiszę wam: Otyły, wielki, w delję białą
Ubrany, z koralowym płaszczem na ramieniu,
Przy szabli — co ja mówię — przy wielkim płomieniu
U boku, z szyją grubą cokolwiek i tłustą,
Która dziś może będzie obwiązana chustą,
Chociaż zwykle za życia gołe nosił gardło;
Z twarzą smętną i groźną, chociaż obumarłą,
Pełny skier biegających po białek przeźroczach,
Patrzący na was jak trup — Patrzcie! reszta w oczach...

(Duch przechodzi przez salę)

Widzieliście?

Ksiądz Teolog.

Czy za nim takich jeszcze wielu?

Bukary.

Sala pełna... Słuchajcie!

Głos I.

Janie!

Głos II.

Samuelu!

Ksiądz Teolog.

Słowo stało się ciałem!

Bukary.

Tak, tak, już się stało

Ksiądz Logik.

Ty sam drżysz!...

Bukary.

Idzie do tej sypialni po ciało
Księcia.

Ksiądz Teolog.

Tam duch...

Bukary.

Obadwa poszli jedną drogą...
Idźcie, w sypialni nie ma już teraz nikogo.
(*Księża - po pewnem wahaniu — wchodzą do sypialni*).
Oswoić się nie można, chociaż można dociec
Przyczyn...

(*Wchodzi Heljon*)

Ha! Heljon.

Heljon.

Cóż tu? Czy zasnął mój ojciec?

Bukary.

Zasnął.

Heljon.
A przy nim nie ma nikogo?

Bukary.
Są księża.

Heljon (do Ks. Teologa).
Nic, księże, nie słyszałeś?

Ksiądz Teolog.
Nic.

Heljon.
Szczęku oręża?

Ksiądz Teolog.
Nie.

Heljon.
Ani żadnych głosów?

Ksiądz Logik.
Prócz nocnego stróża,
Który zawołał: Północ!

Heljon.
Nic więcej?

Ksiądz Logik.
Z podwórza
Ktoś głośno krzyknął: Jezus!

Ksiądz Teolog.
(Heljon postępuje ku sypialni Ojca. Ks. zatrzymuje go).
Jaśnie oświecony
Pan niechaj tam nie wchodzi.

Ksiądz Teolog (wchodząc).
Trup cały czerwony
Teraz dopiero blednie.

Heljon.
Ach, mój ojciec!

Bukary.
Z niebem!...
A wy się mnichy zajmijcie pogrzebem.

Powstanie Chochołowskie r. 46.

Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza

3) wydał

Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.

Pozostaje mi jeszcze objaśnić część obrazkową. Jak pod względem treści, tak również co do rycin znajdzie czytelnik same dokumenta. Wszystko to jest zupełnie nowe, nigdzie nie odtworzone. Widok kościoła drewnianego w Chochołowie, dziś nieistniejącego, jest reprodukcją akwareli ojca mojego, malowanej w r. 1871. Kościół sam pochodził, jak się zdaje z samego początku wieku XVII., najpewniej wystawiony, bo doń odnosi się, jak sądzę, zapiska o wzniesieniu kaplicy w Chochołowie przez dwu braci sołtysów Chochołowskich około roku 1600. W kaplicy tej dwa razy na rok odprawiało się nabożeństwo. W roku 1762 stała się ta kaplica kościołem filjalnym. Potem w roku 1780 dostawił do kościoła wikary ksiądz Jan Babicki wieżę, a kościół w ten sposób powiększony należał jako filjalny do kościoła macierzystego w Czarnym Dunajcu.

W r. 1817 kościół chochołowski stał się samodzielnym parafjalnym z proboszczem osobnym i objął oprócz Chochołowa wsi Witów, Dzianisz, połowę Cichego, połowę Zakopanego i połowę Podczerwiennego, czyli Koniówkę. Druga część Zakopanego należała do parafji w Poroninie, czyli w Bańkówkach. Stan ten zmienił się dopiero w r. 1848, kiedy Zakopane zostało osobną parafją z własnym kościołem, poświęconym d. 6. stycznia 1848 r.

Sam kościół posiada wiele charakteru w budowie i rozmaite szczegóły, które nie są bez znaczenia, jeżeli chodzi o zbadanie stylu naszych kościołów drewnianych. Nie rozwodzę się jednak obszerniej nad tym przedmiotem, poprzestając na zaznaczeniu widoku.

Obok kościoła widać rozłożyste drzewo liściaste, jest to owa sławna lipa, którą znawca drzew Böhm nazwał w r. 1866 „największem drzewem w całym kraju“. (Tabellaryczny Przegląd nadzwyczaj starych, oraz rzadkich drzew w lasach Zachodniej Galicyi, z krótkiemi objaśnieniami co do miejsc, na których rosną, ich wieku, wysokości i grubości, jak niemniej z innemi potrzebnemi uwagami, Dziennik Rolniczy, Kraków 1866). —

Ocenił tę lipę drobnolistną wówczas Böhm na 250 lat, a podał wymiar jej = wysokość 94 stóp, średnica 11 m/m′—8″.

Pisze też przytem w te słowa: „Przy budowie nowego kościoła w Chochołowie chciano ściąć to drzewo; mnie udało się przecie skłonić tamtejszego proboszcza do tego, aby mu życie darował“, a dodaje zdanie, 'któreby winno stać się prawem, bronionem ustawą osobną: „Podobne atoli egzemplarze zostawać powinny pod publiczną opieką, bo takie cuda natury nie powinny nigdy zależeć od humoru pojedynczego człowieka“.

Złote słowa, których nie trzeba popierać, a których niestety dotąd nie wzięło sobie do serca prawodawstwo przynajmniej u nas, bo zem z otoczeniem podług fotogramu, który zdjąłem przed kilku laty. *)

Z następnych rycin obraz podpisany Boga Rodzica Dziewica jest objaśniony osnową pamiętnika. Opis tam zawarty tłumaczy obraz dzisiaj zupełnie zapomniany. Jedynie z pomocą opisu udało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności napotkać na rycinę litografowaną, którą posiada zbiór Walerego Eljasza, a która jest niewątpliwie reprodukcją obrazu olejnego z r. 1846, wówczas niezwykle rewolucyjnego. Obraz ten, jak się zdaje, był w reprodukcji litograficznej jednym ze środków propagandy powstania w r. 1846.



WIDOK DAWNEGO KOŚCIOŁA W CHOCHOŁOWIE. WEDŁUG AKWARELI WALEREGO ELJASZA

gdzieindziej na zachodzie, jak n. p. w Szwajcarji prawo ochrania z surowością stare drzewa, uważając je słusznie za majątek narodowy.

Lipa ta w r. 1871 miała u spodu w obwodzie 18 łokci podług zapiski ojca mojego.

Kościół drewniany zastąpiła wielka świątynia drewniana w stylu gotyckim zbudowana podług planów Księżarskiego z niejakiem podobieństwem do kościoła marjackiego w Krakowie. Podaję widok dzisiejszy tej świątyni ra-

Rycina wyobrażająca dwu górali chochołowskich ma ciekawy początek.

W mieszkaniu Andrusikiewicza w Chochołowie jeszcze przed powstaniem wisiał na ścianie duży obraz kolorowany za szkłem, niewiadomo przez kogo malowany.

Kiedy Andrusikiewicz wrócił ze Spielbergu— po amnestji do kraju, dał zeń zrobić wierną po-

*) Rycinę tę, oraz inne poniżej wyszczególnione, podamy w następnych numerach „Tygodnia“.

dobiznę i odbić w tysiącu egzemplarzy, z których 200 było ręcznie kolorowanych. Wówczas komitety obywatelskie i osoby prywatne prześcigały się w niesieniu wsparcia i pomocy góralom chochołowskim, zubożałym i zniszczonym wskutek powstania. Nadsyłały też datki pieniężne najczęściej do Gdowa na ręce Andrusikiewicza, który znów każdemu z ofiarodawców posyłał na pamiątkę taką reprodukcję. Jedną z nich posiada jeszcze przyjaciel Andrusikiewicza, w którego ręku znalazł się również jego pamiętnik, sędziwy p. Antoni Skąpski w Starym Sączu. Reprodukcja posiada w prawym dolnym rogu litery F. L., podpis opiewa:

Górale Tatrzańscy z Chochołowa i okolicy.

Nie wiadomo, gdzie wykonana, może być, że w litografji Kostkiewicza we Lwowie, gdzie także zrobiono portret Andrusikiewicza podług rysunku B. Z. Stęczyńskiego, a także wizerunek Józefa Kapuścińskiego i trzy różne podobizny Teofila Wiśniowskiego.

Ponadto dodaję jeszcze portrety Andrusikiewicza i Kmietowicza. Żałuję mocno, że nie mogę podać portretu Głowackiego, jeżeli gdzieś istnieje, może właściciel pod wpływem tych słów, da znać o tem i dopomoże do wynalezienia podobizny człowieka godnego, aby go potomni z rysów poznali.

Portret Jana Kantego Andrusikiewicza jest zrobiony drogą fotograficzną z daguerotypu zdjętego z natury w r. 1848, a przechowanego w rodzinie Andrusikiewicza.

Portret księdza Leopolda Kmietowicza razem z autografem jego podpisu podług rysunku z natury wykonanego przez Franciszka Tepę w roku 1848.

* * *

Opis powstania chochołowskiego podał dotychczas Walery Eljasz w *Dwutygodniku dla kobiet*, 1884 w Poznaniu, rocznik IV., p. t. „Kartka z dziejów Podtatrza". Materjałem były głównie opowiadania samych górali chochołowskich, które zgadzają się w zupełności z pamiętnikami Andrusikiewicza. Jestto najobszerniejsza wiadomość dotychczasowa o tem zdarzeniu.

Opisał również powstanie chochołowskie Maurycy Sala w dziele: *Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846* w Wiedniu 1867, str. 153, 204 i dalsze.

Porównaj też:

— „Pamiętnik więźnia stanu" Fr. M. Wł. Czaplickiego, str. 47, 196, 200, 207, 218, 219 i 251.

— „Kufstein" Stefana Mułkowskiego, stronica 68.

Oprócz tego wiadomości o Chochołowie podają prace:

Walery Eljasz, Chochołów, z 3 drzeworytami „Wieniec", Warszawa 1872, rok I., tom II., str. 904.

Walery Eljasz, „Kilka słów o Chochołowie", Kalendarz Czecha, 1873.

Mikołaj I. i Królestwo kongresowe.

N. Szildier: „Mikołaj I. i Polska".

5)

W trakcie tej sprawy — Mikołaj podnosił plan bezprawia większego znaczenia dla przyszłości kraju, podnosił — sprawę udziału wojska polskiego w kampanji tureckiej. Chciał ściągnąć nad Dunaj wojsko nasze, a wzamian wysłać do Królestwa gwardje rosyjskie. Zdaniem autora, zdaniem księcia Eugenjusza Wirtemberskiego, które cytuję, to „braterstwo broni" — byłoby krokiem pierwszorzędnej wagi. Krokiem, któryby uniemożliwił rok 1830. Wszak niekoniecznie armja polska miałaby w czasie wojny tworzyć jedną całość, można ją było rozproszyć po korpusach rosyjskich, „pour croiser et fraterniser les uniformes", jak mówił cesarz Mikołaj. Nasuwać się mogło bardzo poważnie przypuszczenie, czy wojsko polskie wróciłoby w całości do kraju po wojnie, czy nie zatraciłoby swego charakteru... A przecież tylko wojsko utrzymywało ciągłość dziejów naszych od r. 1794.

Na nasze szczęście oparł się temu cesarzewicz. Czy zrobił to z tej racji, jak chce Szildier, że wojnę turecką uważał za liberalną, że wogóle nie lubił wojny, która jego zdaniem brudziła tylko mundury i psuła subordynację?

To nie tłumaczy wszystkiego, nie tłumaczy tych energicznych listów Konstantego, tego straszenia brata — Prusami nawet. W analogji więc do wypadków z lat 1830-31 przypuszczać należy że cesarzewicz miał świadomość zmiany, która zaszłaby po udziale wojska w kampanji r. 1828. A on przecież zrósł się z Królestwem, na swój sposób przywiązał się do tego wyjątkowego stanowiska, które zajmował, a któremu teraz groziło niebezpieczeństwo.

A jego dążenie w kierunku utrwalenia tego swego wyjątkowego położenia — szło w parze z naszym dobrze pojętym interesem.

W tym wypadku jeszcze Mikołaj ustąpić musiał, wojsko nasze ocalało. Nawet wysłaniu oficerów polskich na pole walki sprzeciwiał się, bez skutku co prawda, cesarzewicz.

„Wielki pomysł cesarza Mikołaja, pisze o tem Szildier, został sparaliżowanym. Armja polska została nietkniętą, mogła się spokojnie ćwiczyć i przygotowywać do wybuchu r. 1830“.

III.

Jednym z ciekawych dowodów nietrwałości Królestwa kongresowego była sprawa koronacji. Określał ją tylko § 45 karty konstytucyjnej, zastrzegający, że „wszyscy następcy do K. P. powinni się koronować i wykonają przysięgę na Ustawę konstytucyjną“. W myśl tego paragrafu — Aleksander I. ograniczył się tylko do wykonania przysięgi na konstytucję, i sprawę w całej jej rozciągłości, bez bliższego określenia, przekazał swemu następcy. Stało się to powodem rozmaitych komplikacji, i źródłem powstania następującej wersji: Mikołaj miał powiedzieć ks. Lubeckiemu, że, ponieważ karta konstytucyjna nie mówi nic o miejscu koronacji, miejscem tem więc może być i Moskwa; ks. Lubecki miał na to odpowiedzieć, że w takim razie należałoby kartę konstytucyjną rozciągnąć na całe imperium.

Sprawę koronacji wyświetla nam ostatecznie korespondencja Konstantego z Mikołajem. Cesarz w dość oryginalny sposób pojmował istotę koronacji „Uroczystość koronacyjna warszawska, pisał do brata, nie jest namaszczeniem, ale powtórzeniem dla Polaków samego aktu koronacji“. „Koronacja moja, — jako króla Polski — dla Rosjan miała już miejsce w Moskwie, w Warszawie jest tylko powtórzenie aktu“. „Przysięgę, wymaganą przez konstytucję już złożyłem, spełniając przez to całkowicie wymagania konstytucji“. Chciał ograniczenia całego ceremonjału, nie ustanawiania go raz na zawsze. „Co się tyczy koronacji, to każdy ceremonjał, który ja uznam za stosowny, ma siłę prawa“. Przedewszystkiem jednak żądał ograniczenia do minimum ceremonji religijnych, był przecież głową i obrońcą prawosławja. „Im mniej będzie błazeństw, tem lepiej dla mnie“.

Proponował więc cesarz następujące rozstrzygnięcie sprawy: zwołać sejm nadzwyczajny, na którym cesarz powtórzy swą przysięgę, do tego dodać uroczyste nabożeństwo katolickie w polu, w obecności wojsk, resztę dopełni wjazd do Warszawy i uroczystości miejskie.

I znowu po naszej stronie stanął cesarzewicz, biorąc zwłaszcza w opiekę uroczystości religijne: Wasza Cesarska Mość, pisał, panujesz tutaj nad narodem innego wyznania, nie można więc wyznaniu temu okazywać niechęci, nie można stawać się rzecznikiem sporów religijnych. Ja — zdania mego w tej sprawie zmienić nie mogę. Nabożeństwo powinno się odbyć w kościele, nie jest ono zresztą sakramentem“. Mikołaj musiał ustąpić. Koronacja odbyła się w tak znany nam, z Kordjana choćby, sposób.

W Rosji wiadomość o koronacji przyjętą była bardzo źle. Twierdzono, że jest to akt bezprzykładny w dziejach, umniejszający godność majestatu carskiego, że pomazańca Bożego dotknęła się dłoń niegodziwca („pomazannika Bożja kosniotsia ruka nieczestiwca“). Gen. Benkendorff w pamiętnikach zapisuje: „koronacja ożywiła nadzieje Polaków i nie ucieszyła Rosjan“.

W urzędowych sferach rosyjskich dużo wówczas mówiono o cesarzewiczu, o stanowisku jego wyjątkowem. Okazywano teraz współczucie Polakom z powodu jego szaleństw. Sam Mikołaj chciał się teraz więcej bezpośrednio zetknąć z krajem, chciał poznać ludzi, którzy „reprezentują go w Królestwie, jego — króla nieodpowiedzialnego“. Humor cesarzewicza w czasie koronacji był okropny (humeur massacrante), widać było napięcie stosunków pomiędzy braćmi. Skargi na Konstantego sypały się zewsząd. Benkendorff pisze, że Polacy zrezygnowaliby chętnie ze wszystkich planów ambitnych, byleby usunięto Konstantego z Warszawy. „Mikołaj, pisze nasz autor, miał przed sobą dwie drogi: albo zostawić stan rzeczy, który go dyskredytował w oczach Polaków, albo zerwać z bratem“. Musiano ostatecznie zostawić Konstantego w Warszawie, pocieszając się tem, że jest on koniecznym dla przeciwważenia wpływów arystokracji polskiej, arystokracji, z którą Mikołaj zrywał, odmawiając ostentacyjnie zaproszeniu do Puław.

Po ciężkich dla Mikołaja uroczystościach warszawskich — dwór rosyjski odetchnął na łonie sprzymierzeńca pruskiego...

Sejm zwołano, zwołano wbrew cesarzewiczowi, który nazywał go głupim żartem („nieliepaja szutka)“, na dzień 16. maja 1830 roku. Usłyszeli wtedy reprezentanci narodu po raz pierwszy słowa nowego króla. Nic nie przypominało w nim Aleksandra, mowa była sucha, zwięzła. Było w niej jednak coś nowego, coś, co spoczywało na dnie całej budowy Królestwa, a teraz dziwnem echem odbijało się o ściany sali sejmowej. „Jedna tylko myśl, pisze nasz Barzykowski, była w tej mowie uderzająca. Cesarz oświadczał, że wojska polskie acz nie miały udziału w wojnie na Wschodzie prowadzonej, jednakże niemniej ważne przeznaczenie miały sobie wskazane: tworzyły przednią straż armji, mającej czuwać nad bezpieczeństwem cesarstwa“.

Już raz ta sama sala sejmowa — odbijała się echem zagadnień podobnych, już raz mówiono Warszawie: „wkrótce wspólnemi zbrojni siłami“. Jak wtedy odwoływano się do Jana III., tak teraz do Władysława Warneńczyka, usiłując przeżytemi tradycjami — unarodowić solidarność naszej i rosyjskiej polityki. Wtedy — wszystko co było najlepszego w narodzie, odrzuciło podobne insynuacje — w imię naszej nowej racji stanu.

A teraz? Teraz na ławach sejmowych zasiadali spadkobiercy sejmu czteroletniego, wyrośli

na jego ideałach, ale nad nimi ciężyło groźne widmo r. 1812, brak wiary. Odczuwano więc tylko całą nienaturalność tych słów w tej sali..

Ale na razie był to tylko frazes, nie odpowiadający żadnej rzeczywistości, raczej wskazówka na przyszłość. Gdy frazes ten zamienić się będzie chciał w czyn, gdy ukaże się w całej swej okropności przed świadomością narodu widmo roli, którą mu przeznaczano w polityce, wtedy porwie się on odruchowo do broni, i dar zwycięzcy — armaty na Turku zdobyte, na pomnik Warneńczyka przeznaczone, skieruje przeciw — niemu samemu.

Sejm zamykał Mikołaj, — niezadowolony z odrzucenia projektu o ślubach, mową suchą, ostatnią swą mową konstytucyjną: następna jego mowa miała brzmieć już całkiem inaczej.

Ta szata jednak konstytucyjna Mikołaja — dziwiła mocno Rosjan. „Rola Mikołaja, powie Benkendorff, jako króla konstytucyjnego, była trudna do pogodzenia z jego charakterem monarchy samowładnego. Okazywała się cała przedwczesność organizacji liberalnej Królestwa".

(C. d. n.) *Wacław Tokarz.*

Włodzimierz Jarosz.

Straż pożarna.

(Obrazek wiejski).

(Dokończenie).

V.

Hej Marcinie Kwękało, sławny wójcie wólecki — biednyś ty był nieboże!..

Tobie jednemu jeno wiadomo, a Michałowi z pod garba drugiemu; coś przeżył w tym czasie. Wieleś się nagryzł i naklął, wieleś pieniędzy stracił, nimeś sikawkę ze stacji do wsi dostawił — wieleś głowy nałamał, nim po długich kłopotach z radą, kazałeś sąsieki ze spichrza gminnego wyrzucić i tam sikawkę umieścić — wieleś wieczorów z Michałem prześlęczał nad książką, coście rady szukali, co zrobić z tą kiszką, albo z tamtym drągiem...

Ale prócz książki z wydziału, zaczęła ci poczta oddawać coraz to nowe książeczki, cieńsze i grubsze, z obrazkami i bez nich, żółte i białe... A tyś zajrzał do każdej, a potem chowałeś do kąta stołu, między gromadzkie papiery, że kupa na łokieć urosła..

A za to wszystko, zamiast pomocy, toś we wsi zjadliwość samą spotykał — i niechęć. Każdy ci radził zrobić co inszego, każdemu, coś zrobił, widziało się złe — im więcej się gryzłeś, tem więcej cieszyła się rada — starzy, długowłosi gazdowie.

Aleś się nie dał. Przewiozłeś całą sikawkę z lśniącemi baniami, węże ze skóry i z gumy, baby do tłumienia iskier, drągi, osęki, drabinę składaną, wiadra płócienne, klucze do muterek, bańki z oliwą — ustawiłeś to wszystko w spichlerzu, na dwie kłódki zamknąłeś i — kiedy ksiądz nie dał odbywać ćwiczeń na szkolnym dachu gontowym, swoją własną strzechę dałeś — dla dobra gromady.

Nadeszła wreszcie pamiętna wrześniowa niedziela. Miano spróbować sikawki, wybrać ludzi do straży, poprzydzielać ich do oddziałów... Miało być dużo do widzenia, ale i nie dziwota, że całe wójtowe obejście było zawalone.

Najciekawszy naród, to baby i dzieci. Kłębiłoż się od nich na Kwękałowem podwórku — szpilki by człek nie zmieścił w tej ciżbie. Zeszli się też parobcy i kilku gazdów — wszyscy odrazu chcieli oglądać sikawkę i otoczyli ją tak, jakby ją sobą zgnieść chcieli. Zgiełk — szum — pytania krzyżowały się — każdy rzucał swe spostrzeżenia — każdy chciał się o wszystko dowiedzieć — spierano się o przeznaczenie różnych przyrządów — zgłaszano się z chęcią wstąpienia do straży...

Michał, ochrypły od krzyku, porządkował swoich. Z wielką biedą udało mu się oczyścić nieco miejsca koło sikawki, gdzie zgromadził zdatnych do straży, młodych przeważnie, wesołych i hałaśliwych parobków.

Ledwie ich uciszył.

— Maciek, Jasiek i Smoła — przykrócić kiszki, rozkazał krótko.

Kilkunastu smyków rzuciło się do sikawki.

Stać psiewiary!... ani się rusz!...

Brał po jednemu za kark i odprowadzał na miejsce.

— Jak mi się kto bez rozkazu z miejsca ruszy, to popamięta, kto mu stryk!... Maciek, Ja-

siek i Jantek Smoła do kiszek — a wy stać spokojnie.

Parobcy poprzykręcali kiszki i przeciągnęli je przez gęstwinę dzikiego agrestu, zasłaniającego studnię od strony ogrodu. Kosz wpuścili do wody i wrócili na miejsce.

Michał komenderował.

— Ty i ty — wskazywał — staniecie z tej strony sikawki — wy z tamtej strony. Jak powiem: raz, to wy przygniecie rączkę do ziemi — jak powiem: dwa, to znowu wy tutaj. Reszta stać spokojnie. No — uważać!... Raz — dwa — raz dwa...

Za chwilę, kierowany jego ręką strumień wody uderzył pod nogi najbliżej stojących ciekawych. Ciżba zaszumiała.

— Aa — aa..

Pokropieni śmieli się i ustępowali prędko, pamiętając o odświętnej odziewie, którą mieli na sobie. Michał zataczał coraz szersze koła — za chwilę na skropionem obejściu nie było nikogo, prócz straży i kilku wśród deszczu, kwiczących z uciechy, wyrostków. Widzowie stali w należytem oddaleniu na ogrodzie i nawsisku.

Woda prała w wyschniętą ziemię, wybijając z niej tumany kurzu = pomiędzy patrzącymi rzucano uwagi.

— Ale ci sadzi...

— Nono skąp się...

— Podstaw nos...

Nagle strumień trysnął w górę. Zgromadzeni wpadli w zachwyt.

— Aa — a...

Michał pokręcił munsztukiem, kreśląc w powietrzu wężowe gzygzaki.

— Aaaa — aa — a... jęczało w ciżbie oczarowanej do znaku.

Woda biła z parskaniem pionowo kolistemi linjami kładła się w przeźroczem powietrzu, perliła się brylantowemi ziarnami w blasku popołudniowego słońca — wracała na ziemię, kropiąc strażników.

Rozbawieni buchnęli śmiechem.

— W stodołę wolno?... zapytał Michał stojącego opodal wójta.

— Wolno — kiwnął wójt ręką, zadowolony z sikawki.

Biały sznur wody zakręcił się w powietrzu i prasnął w ścianę stodoły.

— Hou! dość, bo mi tam staw zrobicie — wołał wójt.

Michał strumień zatrzymał. Dał znak, przestano pompować.

— A teraz uważać!..

Gromada ciekawych przysuwała się coraz bliżej ku sikawce — parobcy otoczyli wójta i komendanta.

— Ano chłopcy — zaczął Michał — powiem wam, co będziemy robić...

Tłumaczył na czem polega ich czynność. Mają ratować to, co się pali, i nie pozwalać rozszerzać się pożarowi. Dzielił ich na oddziały, objaśniał użytek przyrządów, zadawał pytania. Wreszcie przykład praktyczny. Pali się chałupa — ogień strzechą sunie ku stodole. Więc naprzód trzeba bronić stodoły, a potem, jeżeli się da, ratować chałupę Gdyby stodoły nie można było przed ogniem uchronić, to trzeba ją raczej rozebrać.

Długa rozciągnięta drabina sięgała poza strzechy. Parobcy z siekierami w rękach zaczęli zwinnie wstępować po szczeblach.

— A ciuknij tam który siekierą w snopek, to ci gnaty połamię — wołał wójt z dołu.

Parobcy ze śmiechem wchodzili na strzechę. Doszedłszy do kluczów, siadali na okrak i tak posuwali się ku zagrożonej od chałupy stronie.

Na pochyłości strzechy siadali, spierali stopy o łaty, namacane pod słomą i wywijali wesoło siekierami. Przygadywali dziewczętom, stojącym w ciżbie na dole, grozili pastuchom śmiejącym się z nich, a tymczasem po drabinie wyłazili inni i wierzchem strzechy sunęli ku nim.

— Hej! — bo trzeszczy!... krzyknął z nich jeden.

— To chodź tak, żeby nie trzeszczało! — zawołał wójt z dołu.

— Hej! — bo tu naprawdę trzeszczy!...

— Nie chodzić już tu więcej!...

Krokwie i łaty zaczęły wydawać odgłosy. To tu, to tam, pękało coś z suchym trzaskiem, stłumionem słomianem pokryciem.

— Skakać na ziemię!... krzyknął Michał.

Ale słowa jego utonęły w okropnym łomocie. Jakby jakiś niewidzialny olbrzym przygniótł swą ręką wierzch strzechy, spłaszczyła się nagle, rozdzierając z trzaskiem krawędzie — krokwie z łożysk powyciągała i legła na zrębie. Niektóre krokwie wpadały w stodołę i swoim rozmachem roztrącały lekke belki, tworzące ściany. Tuman kurzu wzbił się nad ruinę i uniósł płatki zbutwiałej słomy i krzyki kilkunastu tkwiących w strzesze parobków.

Wójt patrzył zdrętwiały rozpaczą — ciżba po chwilowem oniemieniu zaczęła szumieć i huczeć...

* * *

Są rzeczy, które na wsi stoją ponad wszelką cenę. Szczególnie gwódź — i rzemień. Gwoździe zastępuje chłop zwykle kołkiem drewnianym, który wbija w otwór wywiercony świdrem.

Zamiast rzemienia używa sznura skręconego z przędzy.

Nie zawsze jednak rzemień da się zastąpić.

Opasać się sznurem naprzykład — zdaje się, jeszcze nikomu nie wpadło do głowy.

Taksamo nikt nie wpadł na myśl, pleść sznurem chodaki — a brzytwy, to już stanowczo nie można wyostrzyć na sznurze.

Nadto rzemieniem łata się uździenicę — wykrawa się z niego zawiasy do bram i drzwiczek — związki do cepów łączące dzierzak z bijakiem — batog zbytkowny wiejskiego junaka....

Rzemień, to bardzo łakoma rzecz.

Ale piękny rzemień, to rzecz wzbudzająca szacunek.

I trzeba być łotrem koronnym, aby mającemu piękną rzemienną uprząż uciąć w zgiełku jarmarcznym kawałek lejców.

To jednak zdarza się rzadko. Naprzód dlatego, że taka uprząż, to zbytek, na który jeno niewielu może sobie pozwolić, a potem, że chłop piękny rzemień ceni wysoko i nie ma sumienia psuć go, choć nawet dla własnej korzyści.

Znalazł się jednak pastuch, na tyle zły i przewrotny, że nie umiał dopatrzeć się piękna w kiszce, rzuconej przez agrest w wójtowym ogrodzie. Łajdak skorzystał z tego, że zawalona stodoła ściągnęła na siebie uwagę wszystkich i z kiszki, obszytej w jeden jedyny, cały, niesztukowany, słowem śliczny kawałek skóry, wyciął ostrym kozikiem pas długi na jakie dwa łokcie.

Wielka zbrodnia ma to do siebie, że łatwiej ją można wykryć, niż małe przestępstwo. Sprawca został wykryty natychmiast i popadł w pogardę u wszystkich — nawet u politycznych wrogów sikawki.

A wójt i Michał z pod garba nie zapomnieli mu tego do śmierci. Gdzie który z nich dopadł chłopczyska, tak gorzkie wyrzuty mu czynił, że czasem go dobrze trzeba było cucić, nim stanął na nogach.

Nie uratowało to jednak straży. Prawdopobnie nawet nowa kiszka była by jej nie uratowała.

Po nieszczęśliwym wypadku, co spotkał wójtową stodołę, nie można było we wsi znaleść dachu do ćwiczeń. Nowego budynku nikt nie chciał pozwolić, w słusznej obawie przed zawaleniem — starego także nie chciano użyczyć, sądząc sprawiedliwie, że stary zawali się prędzej, niż nowy.

Lecz raty musiano płacić — na wójta w gromadzie wszczęło się sarkanie, potem krzyk, potem wycie — musiał ustąpić z urzędu.

A w spichrzu gromadzkim sikawka zapylona stoi, bezpłatne mieszkanie pająków — i zapomniana, dźwignie-ręce rozłożywszy, kostnieje, czekając pożaru.

Z pism i książek.

Towarzystwo Tatrzańskie wydało XXII tom swojego „Pamiętnika“, zawierający sprawozdanie z czynności Tow. za rok 1901 i monografję dra Stanisława Eljasza Radzikowskiego pt. „Zakopane przed stu laty“. Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że Towarzystwo, mające na celu opiekę nad tym najcudowniejszym kątem ziemi polskiej i uprzystępnianie Tatr zwiedzającym je turystom, liczyło w ubiegłym roku 20 żyjących a 27 nieżyjących członków honorowych, 18 żyjących a 23 nieżyjących członków założycieli, 8 członków dożywotnich i 1845 członków zwyczajnych. Z przytoczonych protokołów posiedzeń wydziału i delegatów dowiadujemy się, że w ciągu ostatniego roku wykonano lub zaczęto w Tatrach kosztem Towarzystwa wiele robót jak budowa schronisk, altan, założenie schodów i klamer w wielu miejscach, gdzie ich dotychczas nie było, naprawiono cały szereg dróg i ścieżek i opatrzono je drogowskazami. W szkole rzeźbiarskiej, założonej w Zakopanem, pracowało w ubiegłym roku 18 nauczycieli, a naukę pobierało 109 uczniów. Na wszystkie te i inne drobniejsze wydatki wyasygnowało Tow. 18.443 kor. 67 h. tj. tyle ile wynosiły dochody Tow. w tym roku administracyjnym. Sprawozdanie kończy się wspomnieniami poświęconymi trzem wybitnym członkom Tow., zmarłym w ciągu ostatniego roku, a mianowicie: Danielowi Wierzbickiemu prof. w Krakowie, lekarzowi radcy, drowi Klemensowi Koehlerowi i artyście Wojciechowi Gersonowi.

Następują dwa krótkie sprawozdania. Jedno z czynności zarządu oddziału czarnohorskiego, z którego wynika, że liczy on 169 swoich członków zwyczajnych 1 honorow. i 3 dożywotnich, oraz że przychód oddziału wynosił 2832 kor. 28 hal. a rozchód 1854 kor. 44 hal. Do najważniejszych z uskutecznionych dotąd dzieł tego Oddziału, należą oprócz innych drobniejszych udogodnień dwa dworki: jeden w Worochcie, a drugi w Żabiem i kilka schronisk rozrzuconych po górach.

Co do oddziału pienińskiego, to pomimo iż to są dopiero początki zorganizowanej opieki nad tym przepysznym zakątkiem naszej ziemi szczyt Trzech koron już ubezpieczono, a obecnie przygotowuje się ubezpieczenie drogi i szczytu Sokolicy, oraz budowa schroniska w Leśnym potoku.

Potem następuje praca p. Radzikowskiego „Zakopane przed stu laty“. Autor zaczyna od przywilejów Zakopanego, istniejącego już od drugiej połowy XVI. stulecia, kiedy to w roku 1578 otrzymało od króla Stefana Batorego przywilej osadniczy. Przywilej ten zaginął i miejsce jego zajął nowy wydany przez króla Michała Korybuta a zatwierdzający stan rzeczy, jaki jego panowanie w Zakopanem zastało. Wyliczywszy szereg innych dokumentów, wyjaśnia Dr. Radzikowski stosunek Zakopanego do Rzeczypospolitej t j. jego polityczną i ekonomiczną od niej zawisłość. W pierwszej więc linji staje Nowy Targ, do którego władzy sądowej i starościńskiej należało Zakopane, a potem lokalno-autonomiczne urządzenia. Na to wszystko przytacza autor szereg dokumentów po większej części w brzmieniu dosłownem.

Równie szczegółowo traktuje Dr. Radzikowski geografję i topografję Zakopanego i okolic, przyczem podaje dawne mapy Haqueta, wedle których mimo przekręconych z niemiecka nazw zorjentować się można w sytuacji, która dziś jest kwestją sporu. Bez żadnych wątpliwości można na tych mapkach dostrzedz, że granica węgierska koło Morskiego oka i Czarnego stawu biegnie tak, jak to windykuje dla siebie Galicja.

Szeregiem studjów historyczno-etnograficznych ilustrowanych obficie rycinami kończy Dr. Radzikowski, opisując zwyczaje, pieśni, wierzenia i stroje zakopiańców z przed stu lat, wedle zachowanych autentycznych dokumentów. Ten dział pracy p. Radzikowskiego objaśniają obficie ryciny, na których wyobrażone są typy zakopiańców z przed lat stu.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.